

Krzysztof Łoziński

Krystyna w czerwonym płaszczyku



Opowiadanie

Pamiętacie film Stevena Spielberga „Lista Schindlera”? Jest w nim scena pędzenia na śmierć ludzi z krakowskiego getta. Film jest czarnobiałym, ale w tej scenie jest jedna kolorowa postać. Mała dziewczynka w czerwonym płaszczku. Później widzimy ją na stosie trupów po zagazowaniu. Dzięki temu zabiegowi Spielberg zwrócił uwagę na to, że losy mas ludzkich składają się z losów pojedynczych osób. To nie „masy” ginęły, nie liczby, tylko ludzie, którzy mieli imiona, nazwiska i twarze.

Opowiem historię z mojego życia z taką refleksją: Nie trzeba aż Hitlera czy Putina. Wystarczy, że rządzą tacy ludzie jak Gomułka czy Kaczyński, by każdy człowiek mógł stać się ofiarą zbrodni. Tak, jak ta dziewczynka.

Od najmłodszych lat musiałem przeżywać emocjonalnie paskudne okoliczności - polityczne represje wobec moich rodziców i mojego dziadka jako AK-owców. To były lata do 1956 roku. Później było spokojniej, ale od roku 1968 znowu musiałem się zmierzyć z dwoma paskudnymi zjawiskami: kampanią politycznej nienawiści i antysemityzmem. Antysemityzm nie dotyczył osobiście mnie, bo ja jestem Polakiem z pewnym tatarskim pochodzeniem, ale dotyczył dziewczyny, którą kochałem i wielu moich przyjaciół.

W 1967 roku miałem 18 lat. W maju zdałem maturę, w lipcu, 13-go, zostałem przyjęty na studia, na pierwszy rok fizyki Uniwersytetu Warszawskiego. 16 lipca skończyłem lat 19. W październiku rozpocząłem studia. Razem ze mną dostał się na studia na fizyce mój kolega szkolny Michał Gołaszewski.

W starym budynku Wydziału Fizyki na Hożej największą salą wykładową była sala SDD, czyli Sala Duża Doświadczalna. Na pierwszym roku wszystkie wykłady odbywały się w tej Sali, z prostego powodu: na roku było ponad 300 osób. Na drugim roku już mniej niż 50.

Do sali SDD wchodziło się po schodach, na których przed wykładem, przed zamkniętymi jeszcze drzwiami, kłębił się tłum studentów. Każdy chciał wejść jak najszybciej, by zająć dobre miejsce w miarę blisko wykładowcy. Moja znajomość z Krystyną zaczęła się od tego, że dostając się na salę zajmowałem dla niej i jej koleżanki Ewy dobre miejsce.

Początkowo była to zwykła studencka znajomość, ale z czasem zaczęliśmy zauważać, że coraz więcej nas łączy. Krystyna, podobnie jak ja, była taterniczką z Klubu Wysokogórskiego. Coraz częściej w przerwach między zajęciami na wydziale chodziliśmy na kawę albo do „Miodka”. To była taka mała knajpka, chyba na Koszykowej, w której serwowano miód pitny. Najpierw chodziliśmy tam w większym towarzystwie, bo gdy mieliśmy na przykład godzinę przerwy między ćwiczeniami a wykładem, to gdzieś trzeba było się podziać. Ale z czasem coraz częściej chodziliśmy do „Miodka” tylko

we dwoje. Innym razem Krystyna odprowadzała mnie na przystanek trolejbusu 56 na ulicy Chałubińskiego, który jeździł przez Miodową, gdzie mieszkałem, albo ja odprowadzałem ją pod dom na Rakowieckiej. To był dłuższy spacer, zwłaszcza, że dla mnie zupełnie nie w tą stronę.

Ostatecznie, już świadomie zostaliśmy parą w Sylwestra 1968 roku. Byliśmy parą zakochanych dzieciaków. Spędzaliśmy razem całe dni, ale w tamtych czasach o wspólnym mieszkaniu tak młodych ludzi nie było mowy. Efektem ubocznym było to, że zawałęm egzamin z analizy matematycznej.

Ale byliśmy szczęśliwi, aż wtargnęła w nasze życie polityka.



Legitymacja studencka ze stemplem wskazującym miejsce w ramach getta ławkowego. 1936 r.

Żydówka, żona adwokata, głośno protestowała przeciw gettu ławkowemu. „Żydówka została obita, po czym wezwano policjanta, który spisał protokół”. Notatka prasowa z okresu międzywojennego.

Koleżanka Krystyny, Hanka Szymanko, wówczas naręczona mojego kolegi z gór, Henia Mierzejewskiego, była sąsiadką Jacka Kuronia na warszawskim Żoliborzu. Właśnie przez nią, zupełnie przypadkowo, wkroczyłem na pół życia w świat polityki.

Wokół Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego tworzył się wówczas nieformalny krąg młodych ludzi, których później propaganda komunistyczna nazwała „komandosami”. Byliśmy jednymi z najmłodszych z tego kręgu.

Działalność tej grupy polegała początkowo na gorących dyskusjach w prywatnych mieszkaniach oraz cichym kolportażu nielegalnych wydawnictw, głównie paryskiej Kultury.

Wydarzenia nabrały tempa pod koniec lutego, kiedy to cenzura zdjęła z afisza „Dziady” Mickiewicza grane w Teatrze Narodowym. Poszliśmy niemal wszyscy na ostatnie przedstawienie i urządziliśmy na nim demonstrację, klaszcząc i gwizdząc w odpowiednich momentach. Później poszliśmy pod pomnik Mickiewicza. Ktoś przelażł przez barierkę i złożył pod pomnikiem kwiaty. Chcieliśmy się już rozejść, ale wokół pełno było milicji i tajniaków. Szliśmy więc Krakowskim Przedmieściem, a glina nas stopniowo wylapywała. Mnie i Krystynie jakoś się upiekło, ale parę osób zgarnęli. Ci zgarnięci dostali później tak zwane „kolegium” i musieli zapłacić jakieś znaczne grzywny. Zrobiliśmy na nich zrzutkę.



Ulotka z okresu międzywojennego.

Kilka dni po ostatnim przedstawieniu „Dziadów” braliśmy oboje udział w akcji zbierania podpisów pod listem protestacyjnym do Sejmu. Tego listu z podpisami było wiele egzemplarzy, a część z nich była pisana przeze mnie na maszynie do pisania moich rodziców. Zanosiliśmy te listy z podpisami do mieszkania Jacka Kuronia. Część tych listów musiała później SB-cja zniszczyć. Oglądałem później te oryginalne listy z 1968 roku w muzeum Uniwersytetu Warszawskiego. Listów z podpisami zbieranymi przez Krystynę

nie ma. Nie ma też listów z podpisami, które zebraliśmy w Klubie Wysokogórskim.

Skąd ja to wiem? A stąd, że zawsze osoba zbierająca podpisy najpierw sama podpisywała się na górze, by nie dawać komuś do podpisu zupełnie pustego egzemplarza. Bo przecież ludzie zwyczajnie się bali. Komunizm to taki system, w którym za napisanie listu do władz idzie się do więzienia. W muzeum UW jest list z podpisami zaczynającymi się ode mnie, jest zaczynający się od Magdy, mojej siostry, a nie ma zaczynającego się od Krystyny (na pewno taki istniał). Nie ma też żadnych listów z nazwiskami większości moich kolegów taterników. A przecież w Klubie Wysokogórskim zebraliśmy ze setkę podpisów, więc powinno być co najmniej pięć listów z samymi nazwiskami taterników - nie ma ani jednego.



Antysemicka kampania w TVP. 2021 r.

„Najpierw poszliśmy okuć palki żelazem. Przeprowadzili 16 Żydówek. 15 zabili palkami a jedną gwałcili. Później ja zabiłem tą, którą gwałcili. Uderzyłem ją trzy razy palką w głowę.”
Zeznanie w powojennym procesie.

Trzeciego marca spotkaliśmy się prawie wszyscy w mieszkaniu Jacka Kuronia. Gomułka przedstawił później to spotkanie w jednym z przemówień jako niemal naradę sztabową spisku. Tymczasem było to zwykłe spotkanie dyskusyjne. Nikt nie przypuszczał wówczas, co się stanie pięć dni później.

Na ósmego marca zaplanowany był wiec na dziedzińcu uniwersytetu. Ten wiec miał być zakończeniem akcji zbierania podpisów pod listem do Sejmu. Miał zamknąć temat „Dziadów”, miał upomnieć się o relegowanych ze studiów Adama Michnika i Henryka Szlajfera i o ile wiem, nic więcej nie miało się dziać. Przyszliśmy z Krystyną nieco spóźnieni, gdy wiec już trwał. Irena Lasota właśnie czytała rezolucję, jaką wiec miał uchwalić.

Na dziedziniec wjeżdżają autokary i wysypuje się z nich tłum cywilów, partyjniaków, ormowców - „aktyw robotniczy”, jak to później określił Gomułka. „Grupki wicherzycieli podjudzane przez politycznych bankrutów i politykierów zaatakowały aktyw robotniczy na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego” - podało wieczorem Polskie Radio. Co „aktyw robotniczy” robił na Uniwersytecie?

„Aktyw robotniczy” otoczył nas kordonem. Wszyscy usiedliśmy na ziemi. Wtedy zaczęli nas wynosić, ale wyraźnie nie mieli instrukcji, co dalej. Mnie przenieśli z jednego trawnika na drugi, dwadzieścia metrów i zostawili. No to wstałem i z powrotem dołączyłem do pozostałych. Inni wyniesieni zrobili to samo. Przeszliśmy pod rektorat. Ciągłe otaczał nas kordon tajniaków. Domagaliśmy się wycofania milicji z uniwersytetu. Do rektora poszła delegacja.

Pamiętam taką scenę chaosu na dziedzińcu przed biblioteką uniwersytecką. Tłum był już większy, ale jakiś taki luźny, przemieszany z tajniakami. Dochodziło do chaotycznych bójek, przepychanek. Tajniacy próbowali wciągać ludzi do autobusów, a myśmy ich wyciągali.



Wiec na UW. Zdjęcia SB.

W pewnym momencie wydawało się, że wszystko już się kończy. Ruszyliśmy z Krystyną w stronę bramy, by iść do domu. Byliśmy jakieś pięćdziesiąt metrów od bramy, gdy wybiegło z niej co najmniej stu

milicjantów w długich, zimowych płaszczach, w hełmach i z długimi pałami. Zaatakowali tłum na dziedzińcu bez żadnego ostrzeżenia bijąc na oślep. Zaskoczeni studenci rzucili się do ucieczki, ale nie bardzo było dokąd uciekać.

Uniwersytet Warszawski zbudowany jest w ten sposób, że brama główna jest właściwie jedynym dużym wyjściem z jego terenu. Istnieją jeszcze pewne przejścia przez budynki, ale na ogół są pozamykane, a przynajmniej wówczas były. Tak duży tłum, około tysiąca osób, mógł się wydostać właściwie tylko przez bramę główną, ale tę bramę blokowała milicja (od strony Powiśla uniwersytet był odgradzony murem, którego dziś nie ma). Część studentów, w tym my, przedostała się na mniejsze podwórko na tyłach Wydziału Geografii. Musieliśmy przebiec w tym celu przez wąskie przejście między budynkami, w którym ustawiły się dwa szpalery tajniaków z pałkami. Biegliśmy przez te szpalery i obrywaliśmy z obu stron. Później takie przepędzanie ludzi między szpalerami pałujących milicjantów nazywano „ścieżkami zdrowia”, ale wówczas nie było jeszcze tej nazwy.

Z tego małego podwórka praktycznie nie było wyjścia. Jedyna brama była zamknięta na kłódkę, a w drzwiach Wydziału Geografii stała milicja. Próbowaliśmy się przebić, ale z gołymi rękami przeciw 80-centymetrowym pałom nie mieliśmy szans. Po pewnym czasie z budynku Wydziału Geografii wybiegła jakaś kobieta z kluczem i otworzyła bramę. Wydostaliśmy się na Krakowskie Przedmieście tuż obok Kościoła Wizytek.

Krystyna nie miała jednego buta. Ja straciłem czapkę. Na Krakowskim Przedmieściu, pod bramą uniwersytetu i pod Pałacem Staszica trwała uliczna bitwa. W tym czasie, gdy jeden oddział milicji zaatakował uniwersytet, inny ruszył przeciw ludziom na ulicy, gapiom, przechodniom. Ta bitwa była dość jednostronna. Milicja pałowała, a ludzie skandowali „gestapo, gestapo” lub „Gołędzinów do domu” i rzucali śnieżnymi pigułami. Słowem Gołędzinów określano wówczas oddziały zwarte milicji (nie było jeszcze nazwy ZOMO, albo jej nie znano). Gołędzinów to peryferyjna dzielnica Warszawy, w której mieściły się koszary milicji. Może bym się i włączył do tej bitwy, bo młody człowiek jest zapalczywy, ale miałem dziewczynę w jednym bucie, a jeszcze miejscami leżał śnieg. Poszliśmy na przystanek i pojechaliśmy autobusem do mnie, na Miodową.

Pierwsza myśl: co się dzieje? Dowiedzieć się czegoś, nawiązać kontakt z innymi. Jak zawsze w podobnej sytuacji miasto huczało od plotek. Dowiadujemy się, że milicja zaatakowała też Politechnikę i akademiki na placu Narutowicza oraz Riwierę, ale wszędzie została odparta. Plotka głosi, że studentom na pomoc pospieszili kolejarze (dlaczego akurat kolejarze?). Podobno przed bramą ASP milicja zatłukła na śmierć studentkę w ciąży. Wymienia się nawet jej nazwisko, więc plotka brzmi prawdopodobnie. Później prawie wszystkie te wieści okazały się nieprawdą.



Kompletujemy jakoś obuwie Krystyny i jedziemy do Kuronia. Jacka nie ma. Został aresztowany już rano. Poza nim także Karol Modzelewski, Adam Michnik i Henryk Szlajfer. Może ktoś jeszcze, ale na razie nie wiadomo. Gajka (Grażyna Kuroniowa) jest dziwnie opanowana, ale tak naprawdę, to nikt nie wie, co robić. Wpadam na pomysł, by porozklejać ulotki w dzielnicach robotniczych. Gajka obiecuje załatwić ulotki. Umawiamy się na jutro.

Na wszystkich warszawskich (i nie tylko warszawskich) uczelniach trwał strajk okupacyjny i nieustający festiwal wiecowania, uchwalania różnych rezolucji, tworzenia piosenek, pisania ulotek...W salach wykładowych siedzą studenci i przepisują ręcznie przez cztery kalki teksty ulotek dyktowane przez jedną osobę. Po chwili ktoś zbiera teksty i zanoszą na bramę, do ludzi. Więc nowy papier, kalki i jeszcze raz. I jeszcze. Co pewien czas piszący się zmieniają, ale ludzki powielacz pracuje non stop.

A pod bramą bijatyka. Ludzie do bramy, milicja na nich, tłum z bram po drugiej stronie na milicję. Co chwila zmiana kierunku. Między tymi szarpaninami i bijatykami trwa normalny uliczny ruch: jeżdżą autobusy, taksówki, samochody. Ściany budynków uniwersytetu oblepione plakatami, transparentami: „Prasa kłamie”, „Czytajcie Świerszczyk, on jeszcze nie kłamie”, „MOczar do MOskwy”, „Nie uczyła się na błędach, tylko na uniwersytetach”.



Jesteśmy wszyscy w jakimś amoku, psychozie, działamy jak w gorączce. Bici, ścigani, aresztowani zachłystujemy się wolnością. Nareszcie mówimy, krzyczymy, piszemy na murach i w ulotkach to, co chcemy! Nareszcie jesteśmy wolni! Żadnego zastanowienia, żadnej refleksji, czym to się może skończyć. Młodzieńczy zapał i brak wiedzy o konsekwencjach powszechnie się myli z odwagą.

W sobotę, 9 marca, w drugi dzień rozruchów jadę rano do Gajki i dostaję plik ulotek. Jestem rozczarowany ich treścią. Spodziewałem się jakiegoś większego tekstu, a tu na wąskich paskach papieru zaledwie kilka słów, pracowicie przepisane na maszynie: „Robotnicy! Gołędzinów bije w waszym imieniu. Protestujcie”. Razem z Jankiem Chałupczyńskim, kolegą z podwórka, jedziemy to rozklejać. Najpierw na Wolę, do Skali, Kasprzaka, Nowotki, potem na Służewiec Przemysłowy. Naklejamy te wąskie paski papieru na przystankach, na bramach fabryk. Nikt nam nie przeszkadza. O pierwszej musimy skończyć. Janek jest robotnikiem. Pracuje w Skali i musi zdążyć na drugą zmianę.

Wpadam na chwilę do domu, na Miodową. Obok, pod wejściem do Szkoły Teatralnej, milicyjna suka. Wyprowadzają chłopaka w kajdankach. Jestem umówiony z Krystyną w Harendzie, w najbardziej idiotycznym miejscu, w środku ulicznej bitwy. Harenda to kawiarnia na Krakowskim Przedmieściu między uniwerkiem a Pałacem Staszica. Przedtem mam wpaść do dziekanatu, nie wiem po co. Ktoś stamtąd dzwonił, żebym przyszedł.

Podaję nazwisko, a panie z dziekanatu starannie zamykają drzwi na korytarz.

- Mam polecenie skreślenia pana z listy studentów. Dziekan radzi, by pan sam zrezygnował ze wsteczną datą, to nie będzie śladu w papierach.



Gomółka: „...a taki Paweł Jasienica, krwawy watażka pomocnik Łuparzki spod Białegostoku...”.

Jest w tym sens. Semestr i tak mam zawalony, bo nie zdałem analizy matematycznej. Tak, czy tak, wylecę. Ale jeśli zostaną skreślony z polecenia SB, to mogę już nigdy na studia nie wrócić. Zgadzam się i piszę podanie o skreślenie mnie „z powodu rezygnacji ze studiów”. Stawiam wsteczną datę. Dziś bym się na taki układ nie zgodził. Powiedziałbym: nie, niech mnie skreślą. Ale wtedy nie miałem jeszcze żadnego doświadczenia politycznego. Nikt z nas nie miał.

Idę do Harendy. Krystyna wylicza mi długą listę aresztowanych. Kilka wydziałów jest rozwiązanych. Oficjalnie wyrzucono ze studiów tylko sześć osób, ale później dowiemy się, że takich jak ja było kilkuset, takich co niby sami zrezygnowali, albo na rozwiązanych wydziałach, po wznowieniu zajęć pojawiły się nowe, odchudzone listy studentów i tych ludzi już na nich nie było. Niby nie zostaliśmy otwarcie wyrzuceni ze studiów. Zostaliśmy z nich zrezygnowani albo zniknięci.

Mam dwa problemy. Po pierwsze mogę spodziewać się aresztowania. Po drugie, jestem w wieku poborowym, a już nie jestem studentem. Mogą mnie wziąć do wojska. Problem pierwszy zostaje pozornie rozwiązany. Przez kilka dni się ukrywam, ale jakoś nikt mnie nie szukał, ale nie wracam do domu. Najpierw ukrywa mnie na strychu Witek Fedorowicz, ale to nie jest dobre miejsce, sąsiedni dom od Uniwerku. Za dużo milicji dookoła. Na ostatni dzień przenoszę się na Dantyszka do domu rodzinnego braci Mierzejewskich.

Z drugim problemem jest większy kłopot. Rodzice załatwiają mi przyjęcie do wieczorowej szkółki, pod szumną nazwą Policealne Studium Elektroniki. Nie jest to wyższa uczelnia, formalnie nie chroni przed wojskiem,

ale zwyczajowo nie brano ludzi do wojska jeśli się uczyli, nawet na takich pseudo uczelniach.

Jest to jednak szkoła dla pracujących, więc muszę być zatrudniony. Dostaję pracę w Fabryce Podzespołów Radiowych „Elwa” na Służewcu. Chodziłem do tej szkoły i do tej pracy bardzo krótko, niecały miesiąc. Na początku kwietnia dostałem kartę powołania do wojska. Nic mi ta szkoła nie pomogła.



Do „Marca 68” nie istniał dla mnie temat antysemityzmu, ani nawet temat narodowości niektórych moich kolegów. Nawet nie wiedziałem o tym, że ktoś jest Żydem i wcale mnie to nie obchodziło. Podobna obojętność do tego tematu, lub nawet nieświadomość jego istnienia dominowała wśród większości moich kolegów.

Od pierwszych dni marcowych rozruchów w prasie i w radiu (televizor wówczas mało kto posiadał) rozpętuje się antyinteligentka i antysemicka nagonka. „Aktyw robotniczy” odwiedza zebranie w Związku Literatów i używa „długich, elastycznych argumentów”. Gomułka trzęsie się

na mównicy i pieni: „a taki Szlajfer, ni to pies ni wydra ... a taki Paweł Jasienica, krwawy watażka, pomocnik - Łupaszkę - spod Białegostoku ... i tacy ludzie nazywają mnie ciemniakiem!” Gomułka nie może przeboleć, że Stefan Kisielewski nazwał jego władzę „dyktaturą ciemniaków”. Pojawia się określenie „syjoniści”. Studenci to „bananowa młodzież”. Z łamów gazet leje się szambo.

Za tą nagonką słowną, w której przodują Ryszard Gontarz i Kazimierz Kąkol, idą czyny. Ludzie wyrzucani są z pracy, profesorowie z uczelni, oficerowie z wojska. Wyjątkowo brutalne, chamskie przemówienie wygłasza sekretarz Komitetu Warszawskiego PZPR Józef Kępa. To przemówienie to sygnał do ataku. Tabuny młodych, partyjnych karierowiczów ruszają na wysokie stanowiska. Ale te stanowiska nie są wolne, więc trzeba wykryć „syjonistów” i otworzyć drogę do własnej kariery. Gomułka stwierdza publicznie, że jeśli ktoś chce wyjechać do Izraela, to państwo mu to umożliwi.



To jest hasło do kolejnej akcji - wyrzucenia masy ludzi z Polski. W następnych miesiącach tysiące ludzi otrzymało „dokument podróży” - paszport w jedną stronę. Tylko pozornie te wyjazdy były dobrowolne.

Oto nagle dowiaduję się, że moja dziewczyna jest Żydówką. Pierwsza reakcja: no to co? A bądź sobie Żydówką, Murzynką, Chinką, czym chcesz, co mnie to obchodzi? Ale szybko okazuje się, że mnie to obchodzić musi.

Wychodzę z pracy po pierwszej zmianie, czyli o czternastej i przed bramą widzę Krystynę. Jest zapłakana, roztrzęsiona. Dłuższą chwilę nie mogę jej uspokoić. Co się stało? Wczoraj jej matkę wyrzucili z pracy. Zostały bez środków do życia (ojciec od dawna nie żyje). W nocy było jakieś walenie do drzwi. Bały się otworzyć. Rano znalazła gówno pod drzwiami, a na drzwiach gwiazdę Dawida nasmarowaną kałem. Chce wyjechać, ma dosyć tego kraju.

A w prasie pełno tego szamba. Przemawia „poseł Ozga-Michalski (poeta)”. A przemawia tak: „Nasz orzeł biało-czerwony obrastał stalowymi piórami od Lenino do Berlina, a teraz chcą go syjoniści oskubać!” W każdej gazecie, w każdym przemówieniu, wszystkiemu winni są „syjoniści”. A swoją drogą to poezja przednia pana „posła, w nawiasie poety”.

Dzieją się tysiące dramatów. Ludzie wyrzucani są z kraju, który uważali za własny. Tu się urodzili, tu mieszkali przez całe życie, żadnego innego kraju nie znają. Mówią tylko po polsku i nagle zostali wykluczeni z narodu, którego językiem mówią. Mogą zabrać ze sobą tylko część majątku (jakże to typowe). Zerwane miłości, rozdzielone rodziny...

W pracy, w fabryce Elwa, w połowie pierwszej zmiany wzywają nas wszystkich na stołówkę. Wszędzie stoją transparenty. Partyjniacy wtykają je zaskoczonym ludziom w ręce. „Syjoniści od Syjamu”, „Literaci do pióra, studenci do nauki”, „Jesteśmy z wami towarzyszu Wiesławie”, „Ukarać rewizjonistów i syjonistycznych wichrzycieli”. Na podwyższeniu ktoś nas filmuje.

Na salę wchodzi Józef Kępa w mocnej obstawie. Przemawia butnym tonem. Płaszcz rozpięty, nawet go nie zdjął, ręka w kieszeni.

- *Zdejmij łapę z rewolweru!* - krzyczy ktoś z sali.

Tajniacy rzucają się w tamtą stronę. „Wiesław, Wiesław” - skandują partyjni. Reszta milczy.

Wracamy na wydział. W milczeniu. Czujemy się zgwałceni, zbrukani, dziewczyny płaczą. Snujemy się w milczeniu. Wszyscy patrzą gdzieś w dół, pod nogi. Nikt nie rozmawia.

Na Krakowskim Przedmieściu już nie ma strajków. Gęste patrole milicji. „Życie się normalizuje” - pisze Trybuna Ludu. 2700 osób siedzi w więzieniach i aresztach. W tym moi koledzy: Janek Lityński i Janek Walc. Ja nie mogę już pokazać się w pracy, bo mnie zgarną. Dziewczyna z kadr czekała na mnie przed bramą. Mówi cicho:

- Pytała o ciebie milicja.

Ponieważ SB-cja nie może mnie znaleźć, wpadają na szatański pomysł. Wysyłają mi wezwanie do stawienia się na komisję poborową. Za to, że SB nie umie mnie znaleźć, nie można mnie skazać, ale za nie stawienie się do poboru można dostać dwa lata. Mam kłopot.

Jedziemy oboje do Gajki, Grażyny Kuroń, by poradzić się co zrobić. Gajka wpada sprytny na pomysł.

- Nie idź tego dnia, na który masz wezwanie, bo będą na ciebie czekać. Idź dzień wcześniej.

Wpadamy też na pomysł, bym mówił, że chcę zdawać na WAT, wojskową uczelnię techniczną, i dla tego chcę być bliżej Warszawy.

Sierżant w komendzie uzupełnień wysłuchuje moich wyjaśnień, kiwa ze zrozumieniem głową i wypisuje bilet do jednostki. Wychodzę na korytarz i oglądam bilet: jednostka wojskowa nr... i tak dalej, ulica Głowackiego, Kraków. Termin 24 kwietnia. Zaiste, życzliwy ten sierżant.

Mamy dwa tygodnie dla siebie. Dwa tygodnie na miłość fajnie brzmi, jeśli zapomnieć, że to tylko dwa tygodnie i nic więcej. Dalszego ciągu nie będzie. Jedziemy w Tatry, na Halę Gąsienicową. I tu nowy problem. ja nie mogę zameldować się w schronisku, bo choć na chwilę SB-cję wykiwałem, to jednak nadal jestem poszukiwany. Na szczęście na Hali są nie tylko oficjalnie działające schroniska, Murowaniec i Wyżnie. Ale już Księżówka jest nieczynna. Wspiąłem się po drewnianej ścianie i udało mi się otworzyć okno na pierwszym piętrze. Wieszamy z tego okna kawałek liny i jest to droga wejściowa także dla innych. Bo oprócz nas jest na Hali Gąsienicowej spora gromadka ludzi, którzy się ukrywają. Są też i inne rozwiązania. Na przykład Hanka Szymanko mieszka w domku PAN-u. Poza tym Tatrzański Park Narodowy w swoim szale niszczenia nie zdążył jeszcze rozebrać kilku pasterskich szałasów.

Jest typowa tatrzańska wiosna (kwiecień). Leży jeszcze sporo śniegu, ale jest to śnieg topniejący, miękki i mokry. Na niektórych zboczach w ogóle go nie ma. To dobrze, bo nie mamy raków. Ktoś powie, trzeba było kupić, ale wtedy nigdzie w Polsce nie można było ich kupić. Zresztą za co? Oboje jesteśmy na utrzymaniu moich rodziców. Jedyną rodziną Krystyny jest jej matka, którą wyrzucili z pracy. Stan dochodów zero.

Próbujemy się wspinać, ale mamy kiepskie minimum sprzętu. Zamiast normalnej liny, używaną podwójnie nylonową zjazdówkę (6 mm). Udajemy, że na „tym” można się asekurować. O ile pamiętam, to zrobiliśmy tylko Żółtą Iglę, Filar Staszla i Setkę na Zadnim Kościelcu.

Zresztą całe to wspinać to tylko jakieś alibi przed sobą samym, takie udawanie, że coś jest normalnie, podczas, gdy nic nie jest normalnie. Niby jesteśmy razem, ale oboje wiemy, że wisi nad nami termin 24 kwietnia. A co dalej? Kiedy się później zobaczymy? Krystyna zaczyna mówić o emigracji. Do mnie to jakoś nie dociera. Ale realia są twarde. Ona z matką zostały bez żadnych środków do życia. Ja z nią wyjechać nie mogę, nie dlatego, że nie jestem Żydem, tylko przez wojsko i SB. Jak się nie stawię do wojska, będą mnie ścigać jako dezertera. Jak wystąpię o paszport, to mnie zamkną.

24 kwietnia rano wyjeżdżamy pociągiem w stronę Warszawy, przez Kraków. W Krakowie rozstajemy się. Ja wysiadam, Krystyna jedzie dalej. Zabiera mój plecak. Ja zostaję tylko z biletem do jednostki. Mamy kilka minut na pożegnanie, tyle, co pociąg stoi na stacji. Za resztki pieniędzy biorę taksówkę. Nie znam Krakowa, nie wiem, gdzie jest ulica Głowackiego. Wartownik przy bramie ogląda wezwanie.

- Batalion rozpoznania, tam – i pokazuje kierunek.
Wolność została za bramą.

Przed poborem do wojska nie uratowała mnie szkoła. Bo przed tym poborem nic nie ratowało. Brano równo: chorych, uczących się, jedynych żywicieli rodzin. Władza traktowała wojsko jak zastępcze więzienie. Bo i niewiele ówczesne wojsko różniło się do więzienia. Do przysięgi (6 tygodni) żadnych przepustek. Pierwsza po przysiędze, ale na następną czekałem pół roku. Wszechobecne chamstwo. Człowiek wychowany w kulturalnej, inteligentnej rodzinie raczej nie jest przyzwyczajony, by zwracano się do niego per „kurwa wasza mać” i odczuwa pewien dyskomfort. Ale to jeszcze nie jest najgorsza rzecz, do której trzeba szybko się przyzwyczaić.

Kompletne zniewolenie. Nawet po korytarzu nie można poruszać się bez pozwolenia. W tak zwanym okresie unitarnym o samodzielnym wychodzeniu z budynku nie ma mowy. Do tego poniżenie, głupota, władza prymitywów o jakich inteligent nie przypuszczał, że w ogóle istnieją. Jest wiele sposobów gnojenia młodych ludzi: zbiórki kompanii na drzewie, meldowanie się do pieca, mycie kibli szczoteczką do zębów, wiórkowanie podłóg żyłką. Kaprał wywala kopniakiem wiadro z wodą. Trzeba zebrać tę wodę z powrotem sznurowadłem i mieć nadzieję, że nie kopnie znowu. Bo co mu tam?

Dla komisji poborowej wszyscy byli zdrowi. Można było nie mieć nogi i też by wzięli. Powstał wtedy ponury dowcip:

Staje poborowy przed komisją lekarską. Lekarz nie podnosząc wzroku mówi:

- Zdolny!

- Ale panie doktorze, ja nie mam jednej nogi...

Lekarz patrzy uważnie.

- Co wy mi tu poborowy pierdolicie, że nie macie jednej nogi, jak ja na was patrzę i widzę, że macie jedną nogę!

Krystyna przyjeżdża do mnie w niedzielę. Kawał drogi z Warszawy do Krakowa. Ale to jedyna możliwość spotkania. Siedzimy w zatłoczonej kantine, żadnej intymności. Ja nie mogę wyjść poza jednostkę. Nawet na wyjście do tej kantyny muszę mieć zgodę dyżurnego. Niewiele to się różni od widzenia w więzieniu.

Przy każdym kolejnym spotkaniu robi się między nami jakby chłodniej. O czym tu rozmawiać?



Rasistowskie napisy na cmentarzu żydowskim (w Polsce, teraz).

Po przysiędze, w początku czerwca, pierwsza przepustka. Mogę pojechać do Warszawy. Muszę być w mundurze, przebrać się w cywilne ciuchy nie wolno. Na dworcu jakiś chłopak mówi do mnie:

- Czerwony beret, jak ja ci zazdroszczę.

- Ty durniu – myślę, ale nic nie mówię. Nocuję w rodzinnym domu, na Miodowej. Rano spotykam się z Krystyną na przystanku przy Placu Defilad. Jest jakaś oschła. Mówi, że wyjeżdża, i że musi wyjść za mąż za jakiegoś chłopaka z TSKŻ, bo jako małżeństwo mogą zabrać więcej rzeczy. Bagaż jest limitowany. Bardzo szybko się ze mną żegna.

Placzę się po domu, nie wiem co robić. W dziewiętnastoletniej głowie kłębią się najgłupsze pomysły. W końcu zakładam cywilne spodnie i kurtkę na mundur. Tylko wojskowe buty wyglądają z tym dziwnie. Jadę do Krystyny. Drzwi zamknięte, nikogo nie ma. Zostawiam jej kartkę, że czekam codziennie o 17-tej w takim barze naprzeciwko Kuronia, na Żoliborzu. Nie wracam do jednostki i znów się ukrywam. U Bożeny Jesionkiewicz, koleżanki z SKT, w piwnicy.

Na czwarty dzień Krystyna zjawia się w tym barze. Tłumaczę jej, że mam taki pomysł, że ja przeprawię się do niej przez zieloną granicę.

- Przez ile granic?

- Tyle co trzeba.

- Czechosłowacja, Węgry, Rumunia, Bułgaria, Grecja, Turcja, Liban – wylicza.

Rozmawiała z moimi rodzicami. Znaleźli kontakt z kimś z wojska. Jeśli teraz wrócę do jednostki, to dostanę symboliczną karę, jak nie wrócę, to mogę

dostać dwa lata więzienia. Na razie traktują to jako „samowolne oddalenie”, a nie dezercję. Mówi twardo, że z nami koniec.

Wracam do jednostki. Dowódca kompanii mówi, że zostanę ukarany prze sąd koleżeński. „Sądzą” mnie koledzy z kompanii. Dostaję symboliczną karę: cztery dni aresztu za cztery dni nieobecności.

Jestem w psychicznym dole. Krystyna mnie zostawiła, wyjechała do innego kraju, nawet nie wiem, do którego. Nie mam nawet jej zdjęcia. No i gdzie ja jestem? W jakim strasznym otoczeniu. Nasz romans trwał krótko, ale był szalenie intensywny. Byliśmy razem codziennie, bez przerwy, od rana do wieczora, a tu wystarczyło półtora miesiąca, by mnie rzuciła.

Wszyscy chłopcy, którzy poszli ze mną do wojska mieli dziewczyny lub żony. Po roku nie miał żaden. Nie jestem wyjątkiem, ale czy musiała mnie porzucić tak szybko? Nie mogę się z tym pozbierać. Człowiek zdradzony, w warunkach pozbawienia wolności nie może przestać cierpieć, dokąd jej nie odzyska. Gdyby był wolny, doszedłby do siebie po kilku miesiącach.

Pół roku później jestem oddelegowany na szkolenie łączności do Białobrzeg koło Zegrza, tuż koło Warszawy. Gdy mam już po tym szkoleniu wracać do Krakowa, nagle zostaję aresztowany. Okazuje się, że SB ciągle mnie szukała i nie wpadła na pomysł, że jestem w wojsku. Żołnierze WSW wiozą mnie do Warszawy. Areszt Śledczy Warszawa Mokotów, ul. Rakowiecka 37A, trzeci pawilon (w przyszłości będę tu jeszcze lądował).

Po trzech miesiącach prokurator umarza postępowanie. Uzasadnienie: „i tak jest w wojsku”. Wychodzę, mam wracać do jednostki. Idę ulicą Rakowiecką koło domu Krystyny. Wchodzę na pierwsze piętro, gdzie mieszkała. Nie wiem po co, bo przecież tam jej nie ma. Stoję bezradnie pod drzwiami. Z dołu po schodach wchodzi jakiś mężczyzna i wyciąga klucz.

- Pan tu teraz mieszka? - pytam.

- Tak, a bo co?

- A wie pan kto tu wcześniej mieszkał?

- Jakies Żydowy, chuj im dupę – i znika za drzwiami.

Wyszedłem z wojska. Zacząłem już zapominać o Krystynie. Spotykałem inne kobiety. Prasa podała, że na lotnisku w Tel Awiwie trzech Japończyków, terrorystów z Japońskiej Frakcji Czerwonej Armii, otworzyło ogień do tłumu w hali odlotów. Zginęło kilkanaście osób, zanim napastników zastrzelono. Większość ofiar stanowili Portorykańczycy, ale zginęli też Żydzi.

"	50.	FORMISKI	
"	51.	Salaterki	3
"	52.	Talerze z wzorami	3
"	53.	" szklane/kryszt/6	
"	54.	Półmisek mały "	1
"	55.	Miseczki do komp. "	4
"	56.	Filizanki ze spodł.	4
pud.	57.	Miski fajans. malow.	2
"	58.	" czarna siwak	1
szt.	59.	Filizanki do cz. ka-	

Zatwierdzony przez SB zestaw przedmiotów, które pozwolono wywieźć emigrującym Żydom.

Ot, taka wiadomość. Jakiś czas później spotkałem przypadkowo dawną koleżankę Krystyny. Powiedziała mi, że ona zginęła w tym zamachu. Nie uwierzyłem, uznałem za fantazję.

Pewnego dnia przeglądałem kupione przez ojca włoskie czasopismo „Epoka”, ze zdjęciami zrobionymi po tym zamachu na lotnisku. Nie było już na nich ciał ludzi, ale była krew i, jak to zwykle w takich przypadkach, różne pogubione, rozrzucone przedmioty: buty, parasolki, torebki. Patrząc na jedno ze zdjęć i nagle... jej torebka. Nie ma wątpliwości, że ta sama, którą znam. Polska, skórzana torebka, tak zwana konduktorka. Musiałem mieć dziwną minę, bo ojciec spytał, czy coś się stało. Powiedziałem, że nic.

30 maja 1972 roku na lotnisku w Tel Awiwie, z samolotu wysiada trzech Japończyków: Kozo Okamoto, Tsuyoshi Okudaira i Yasuyuki Yasuda, członków Japońskiej Frakcji Czerwonej Armii, sponsorowanej przez Związek Radziecki organizacji terrorystycznej. Wyjmują ukryte w futerałach od wiolonczeli karabinki automatyczne SaVz58 (czechosłowacka wersja AK47) i otwierają ogień do tłumu na lotnisku.

Zaskoczona ochrona reaguje za późno. Pierwszy z terrorystów zostaje zastrzelony, drugi jest ciężko ranny po wymianie ognia, trzeci sam wysadza się granatem. Ale zdołali zabić 26 osób i 80 ranić. Organizatorką zamachu była Fusako Shigenobu, która nie była na miejscu, została w Japonii. Poszukiwano jej przez wiele lat. Została aresztowana dopiero 8 listopada 2000 roku i skazana na 20 lat więzienia. Została zwolniona 28 maja 2022 roku, po odbyciu całej

kary. Niemal dokładnie 50 lat po zamachu. Sowieccy organizatorzy kampanii antysemitycznego terroryzmu nie zostali osądzeni nigdy.



Krystyna nie była jedyną znaną mi osobą, wyrzuconą wówczas z Polski. Wyjechała lekarka, znajoma mojej matki, Irena Herbst wraz z dziećmi Ewą i Michałem. Ja wcześniej z tymi dziećmi jeździłem na wakacje. Żyje tylko Ewa. Mieszka w Szwecji. Wyjechał kolega z klasy, a także z pierwszego roku fizyki, Michał Gołaszewski. Moi koledzy ze szkolnej klasy odprowadzali Michała na pociąg bez powrotu, o ironio, na Dworzec Gdański, niecałe 500 metrów od Unszlag Platz, z którego wywożono warszawskich Żydów do komór gazowych. Do Michała Gołaszewskiego dotarła jedna z moich danych koleżanek szkolnych. Mieszka w Australii, jest profesorem Fizyki. Ma taki uraz do naszego kraju, że nie chciał rozmawiać po polsku.

Do dziś nie wiem na pewno, czy Krystyna rzeczywiście zginęła. Może ta torebka była tylko podobna, może miał ją przy sobie ktoś inny. Może tylko była ranna. Odkąd wyjechała z Polski nie nawiązała kontaktu z nikim, kto został. Próbowałem dotrzeć do listy ofiar, ale niewiele to daje. Żydzi wyrzuceni wówczas z Polski po przyjeździe do Izraela często zmieniali imiona i nazwiska.

A antysemityzm w Polsce nadal kwitnie.

„To wszystko pokazuje, że chodzi o pieniądze. Żydzi otrzymali bardzo dużo pieniędzy od Niemiec i nadal je dostają. Uznali, że teraz czas na nas. Żydzi chcą od Polski wyciągnąć pieniądze. Ale nasza sytuacja jest kompletnie inna. Polska nie da sobie nic narzucić ani nie pozwoli nic od siebie wyciągnąć. Nie damy się traktować w sposób przedmiotowy. Żydzi będą musieli to zrozumieć”.

Poseł PiS Arkadiusz Mularczyk w wywiadzie dla wPolityce.pl luty 2019



Gdy kilka lat temu, w związku z założeniem KOD-u, opublikowałem swój życiorys i wspominałem o dalekich tatarskich przodkach, w jednej z PiS-owskich gadzinówek napisano o mnie: „ma niepolskie korzenie”, a „Gazeta Warszawska”(paskudna gadzinówka) nazwała mnie „niemieckim folksdojczem”.

Kilka dni temu, minister w rządzie PiS, Anna Moskwa, mówiła publicznie, że „zwróci się do ministra Ziobry, by znalazł rozwiązanie prawne” pozwalające odbierać paszporty przeciwnikom politycznym.

Mentalność z Unsłag Platz, jak widać w formie.

Krzysztof Łoziński, 27.03.2023.